

Fragment utworu w przekładzie

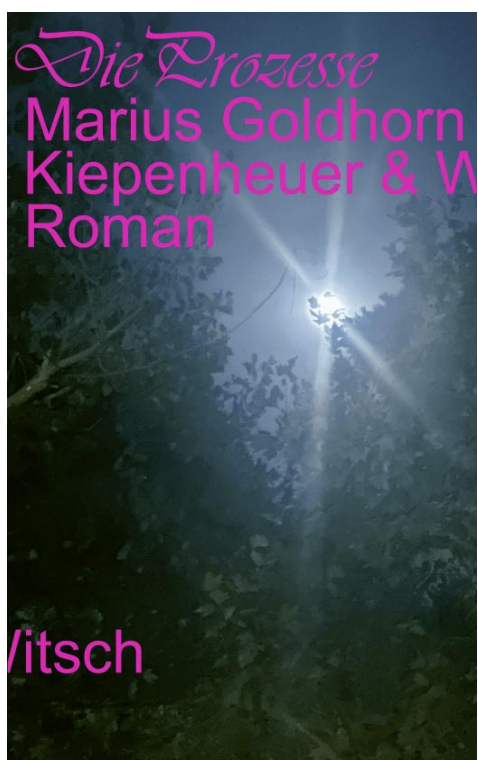
Marius Goldhorn
Die Prozesse

Kiepenheuer & Witsch Verlag, Kolonia 2025
ISBN 978-3-462-00780-0

Str. 13-32

Marius Goldhorn
Procesy

Przekład: Mark Ordon



DESZCZ

Nie mogliśmy spać. O świcie wyszliśmy z naszego hotelu. Nikogo nie spotkaliśmy. Ezra znał drogę.

Na wydmach zdjęliśmy buty. Piasek był zimny po nocy. Na myśl przyszła mi skóra martwego smoka: sucha, delikatna, zimna. Pojedyncze ziarenka piasku się poruszyły. Niebo, chmury i morze tworzyły niebiesko-srebrną całość, kulę.

Włożyliśmy do zagłębienia białe koce i ręczniki, które przynieśliśmy z hotelu. Miałem na sobie nową zieloną parkę i nałożony kaptur. Spojrzałem na wąską stopę Ezry; wydawało się, jakby włosy wyrastały mu prosto z kości. Był dwunasty wrześnie.

Ezra miał ze sobą tylko czarne dzwony, które mu podarowałem. Były bardzo dopasowane; za każdym razem rozśmieszał mnie, gdy wciskał się w nie, leżąc, choć był bardzo chudy. Teraz odpiął górny guzik. Jego fioletowy, wełniany sweter podwinął się i dostrzegłem jego kości miednicy oraz ciemne włosy poniżej pępka. Wydawało się, że znalezienie spodni za ciasnych dla niego graniczy z cudem — a jednak mi się udało. I tak je nosił. Miałem ze sobą wodę. Wypił łyk, owinał się kocem i zasnął. Przesunąłem dłonią po jego ciemnoblonde brwiach splatających się ze sobą pośrodku czoła. Doskonale komponował się z wydmami, matowymi trawami i szarym piaskiem. Nocne światło zapewniał statek-przetwórnia. Spaliśmy spokojnie na świeżym powietrzu. Jesteśmy jedynakami z Niemiec, mieszkamy w Brukseli. Ezra jest starszy ode mnie o ponad siedem lat. Ja mam dwadzieścia dziewięć. A Ezra to chyba z tysiąc.

Obudziła mnie przychodząca wiadomość, ale jej nie przeczytałem. Leżałem nieruchomo. Znów zasnąłem.

Powoli dochodziłem do siebie, jakbym wybudzał się z długiej narkozy. Niebo było żółte. Wszystko się zmieniło. Ezra odwrócił się we śnie. Usiadłem; wiało. Nie było powodu do pośpiechu. Niebo wyglądało niewyobrażalnie — ciężkie, zasnutę. Wszystko było żółte. Na brzegi koca nawiało żółtego piasku. Na horyzoncie majaczyły rozmyte kontury żółtych chmur; tam padał deszcz. Zdjąłem kaptur, policzki miałem rozpalone. Słuchałem jednostajnego szumu i rysowałem palcem spiralę w piasku. W tej chwili łączyły mnie z życiem — i z tym, co po nim — dobre stosunki. Gdzieś nad morzem w naszą stronę przetoczył się grzmot.

Niżej, na plaży, dwóch rycerzy toczyło walkę — w szpiczastych hełmach, w kolczugach i w spódnicach z postrzępionej tkaniny. Uwielbiałem rycerzy. Przeżywałem wówczas swoją średniowieczną fazę. Ezra nie miewał już żadnych faz. Widać to było w jego oczach — czasem pojawiał się w nich ten tysiącletni wzrok, jakby mierzył w coś bardzo odległego. Miecze rycerzy rozbłyskiwały przy każdym zamachu, gdy szykowali się do zadania ciosu i nie rozumiałem, jakie światło odbijały ostrza. Odpierali uderzenia, a czasem trafiali w

zbroję, lecz zdawało się, że wcale im to nie przeszkadza. Próbowałem obudzić Ezrę, z czasem coraz energiczniej. Chrząknął i wciągnął powietrze głęboko, jakoś nierówno.

Zasunąłem sobie kosmyk włosów za ucho i wybrałem między rycerzami swojego faworyta. Nie wiązałem warkoczy — zaraz się rozplatały, włosy miałem wtedy wcale nie takie długie, sięgały tylko do brody. Ezra nie chciał, żebym eksperymentował z fryzurą. Trochę się bałem — żeby piorun nie trafił któregoś z rycerzy.

Zdjęli hełmy i czekali na kolejny grzmot. Spokojnie wbili miecze w piasek, wskazali coś w stronę deszczu i napili się z bukłaka. Mieli naprawdę świetny rynsztunek. Potem pobiegli przez wydmnę na parking. Tymczasem Ezra wciąż nie mógł się obudzić.

Chwyciłem go za ramię, mocno przycisnąłem, poczułem pod paznokciem kciuka — choć nie chciałem — skórę, pod którą kryją się kości.

— Ezra — powiedziałem.

Usiadł, spojrzał na mnie, po czym znów zamknął oczy. Patrzyłem na plażę i morze, w żółte niebo.

— Chyba zaczyna padać.

— Nie czuję się dobrze — powiedział Ezra. Rękaw podwinął mu się do góry, odsłaniając jeszcze opalone od lata ramiona.

— Co jest?

— Muszę do hotelu.

Mówił spokojnie i poważnie. Coś było nie tak, pospiesznie się zebraliśmy, zostawiając koce i ręczniki. Szedł pół kroku przede mną. Milczałem. Zapewnił mnie, że ma tę chorobę pod kontrolą. Nazywał ją „chorobą motyli”. Bywał trochę staroświecki. Nie mówił wiele o chorobach; powiedział mi, że jest łagodna i nieistotna. Nie chciałem rozmawiać o chorobach. Staram się nie dopuszczać pewnych informacji do siebie. Im mniej wiem, tym lepiej. A Ezra wiedział wszystko. Pod tym względem dobrze do siebie pasowaliśmy.

Obserwowałem nas oczami ludzi na promenadzie, którzy odwracali się za nami, gdy pędziliśmy obok — dwóch wielkich mężczyzn, jeden szczupły i elegancki, a za nim ja, długowłosy i cały w piasku. Kojąco było widzieć nas w lustrze innych, uświadomić sobie, jak groteskowo i dziwnie wyglądaliśmy. Wszystko, co robiliśmy, wydawało się właśnie takie.

Pędziliśmy przez jasny hol wejściowy ogromnego hotelu. Recepcja *Thermae Palace* była opuszczona, marmurowe płytki popękane i zdeptane.

— Masz klucz?

Podąłem mu kartę. Przemierzaliśmy długi, ciemny korytarz, po starym, niebieskim dywanie, który w niektórych miejscach miał ciemne plamy od wody. Hotel zdawał się przygotowywać na rolę szpitala polowego. Na sufitach dostrzegłem słabo zamalowaną pleśń.

— Dlaczego nigdy nie włączają światła?

Nie odpowiedziałem. To Ezra wpadł na pomysł, żeby zrobić rezerwację w tym dziwnym, ogromnym hotelu.

W naszym pokoju wysypał zawartość swojej torby na ramię: papiery, kable, blisterki. Podróżował z bardzo małym bagażem.

— Były w mojej torbie — powiedział.

Przeczytał tył blisterków i odrzucił je na bok.

— To nie to? — zapytałem.

— Aspiryna.

— Może zapomniałeś ich wziąć?

— Może. Nie sądzę.

— Kiedy ostatni raz nie miałeś tego leku przy sobie?

Odpowiedział bez zastanowienia — Osiemnaście.

Leżąc tak na dywanie, z jedną nogą zgiętą, z rozpiętymi spodniami i rozmawiając przez telefon z lekarzem w Brukseli, myślałem, że ma wszystko pod kontrolą. Ezra się uśmiechał; on i jego lekarz byli dziwnie sobie bliscy. Tłumaczył mu sytuację, opowiadał, jak kąpaliśmy się w zimnym morzu i że spaliśmy na zewnątrz, podczas gdy ja oglądałem grafikę na jasnoniebiesko pomalowanej ścianie — obraz Jamesa Ensora. Choć w rzeczywistości była to raczej pogodna praca, przypominała mi wojnę.

— Mam odpoczywać — powiedział Ezra, wkładając dwie różne skarpetki. Coś, czego właściwie nigdy nie robił.

Czekaliśmy — ja przy stole, Ezra w łóżku — aż lekarz wyśle mu receptę. Wargi mu drżały, choć tego nie zauważał. Powtarzałem sobie, że tylko przy nim mogę być sobą, jak liść kołysany na wietrze. Zawsze tak było. Oglądałem filmiki z ostatnich dni: Ezra w piasku i w morzu, wydmy i wiatr.

— Mam — Ezra wysłał mi receptę.

— Nie mam pieniędzy.

Zdjąłem mu spodnie. Nosił drogą bieliznę, blond włosy na udach lśniły w świetle. Zawsze dawał mi pieniądze.

— Dawaj — powiedział, pochylił się lekko do przodu i wyciągnął rękę. Podałem mu mój smartfon, a on podpiął do niego swoją kartę kredytową.

— Nie będę tego używał — powiedziałem, ale on już zamknął oczy i przykrył się kołdrą.

Najpierw nie mogłem znaleźć wyjścia z hotelu. Pod przeciekającymi kaloryferami stały plastikowe wanienki oblepione twardym osadem. Na końcu korytarza natknąłem się na pokojówkę. Myślałem, że mówi do siebie, ale rozmawiała z robotem odkurzającym, który ją śledził. Słyszałem, że mówi coś o „butach” i „bosych stopach” — nie znam flamandzkiego.

Wszedłem do sali śniadaniowej z żyrandolami z kryształowego szkła i szklanymi pojemnikami z sokami owocowymi. Setki stołów przykryto białymi obrusami, z krótkimi serwetkami i srebrną zastawą, choć nie spotkałem jeszcze żadnych innych gości. Ezra mówił, że hotel prawie nic nie kosztował i wkrótce zostanie zamknięty na zawsze, że to wszystko jest jednym wielkim żartem. Nie mogłem pojąć, dlaczego nasz pokój miał widok na pusty

parking, zamiast na morze.

Padał deszcz. Kolumnadę hotelu podparto stalowymi podpórkami, żeby nie runęła. Czuć było zapach moczu i spalonego styropianu – tak mi się przynajmniej wydawało.

Wzdłuż szerokiej plaży Ostendy ciągnęła się nieskończona promenada, gęsto zabudowana wielopiętrowymi kamienicami mieszkalnymi. W aptecce pokazałem receptę, a farmaceutka wyjaśniła mi sposób przyjmowania tabletek przeciwmalarycznych.

– Jeszcze przygotowuję maść na wysypkę – dodała.

Może uznała, że to ja jestem chory. Powiedziałem, że potrzebuję jeszcze olejku do włosów. Chciałem w ten sposób dać jej znać, że jednak jestem zdrowy. Olejek był droższy niż leki Ezry.

Wracając, schowałem papierową torebkę pod parkę, chroniąc zakupy przed deszczem. Uwielbiam tę ciemnozieloną parkę — kupił mi ją Ezra. To model z jesieni 2001 roku, o czym dowiedziałem się z Internet Archive. Z kapturem na głowie wyglądałem może nieco wojskowo. W odpowiedniej koszuli szybko znowu jawiłbym się jako dezertor, którym chciałem być. Przechodziłem plażą, szukając koców i ręczników, które tam zostawiliśmy. Ezra mówił, żebym dał sobie spokój, ale nie mogłem się na to zgodzić.

W takich sytuacjach uderzało mnie, ile miał pieniędzy. Ezra nie interesował się pieniędzmi. Bogaci nie potrzebują pieniędzy. Jego rodzina pochodziła z kasty pieniędzy. Wliczając w to wady genetyczne, kariery, chciwość, paranoję, mówił. Ezra nienawidził pieniędzy. Tak, jak można ich nienawidzić tylko wtedy, gdy się je ma i się ich nie potrzebuje. Nikt nie wiedział, jak naprawdę był bogaty — ja też nie. Zwracało moją uwagę, gdy jadł napadowo jak zwierzę, w podartych garniturowych spodniach albo gdy sięgał po moją małą tubkę kremu Vichy, rozsmarowując go po całym ciele. Albo gdy mówił, żebym przestał już sprzątać.

— Kto ma to sprzątnąć, Ezra? — pytałem, sprząając.

— Nikt — odpowiedział.

Nasz pokój znajdował się na trzecim piętrze. Cicho otworzyłem drzwi. Przeszedłem po dywanie i usiadłem na brzegu łóżka. Ezra dał mi znak wzrokiem, że mnie usłyszał. Namaściłem mu policzki i nos. Nie zauważyłem żadnej wysypki.

— Lepiej by było, gdybyśmy pojechali na pustynię.

Położył swoją dłoń na mojej.

— Muszę odpocząć.

Końcówki jego palców były śnieżnobiałe. Cofnąłem rękę. Podrapał się po czole. Chciał, żebym dał mu skarpetki na ręce. Pokazałem mu tabletki przeciwmalaryczne.

— Dwie — powiedział.

Wcześniej zrobiło się ciemno. Lubiłem spędzać cały dzień w łóżku. Leżeliśmy obok siebie; czasami opadały mi powieki, ale zaraz je otwierałem, i przez moment patrzyłem na nasze nieruchome, nagie ciała, jak na zamrożone dorsze w niebieskim świetle ekranów, i miałem wrażenie, że jesteśmy martwi. Albo inaczej — nie istnieliśmy, byliśmy tylko oświeceni przez

informacje.

W pewnym momencie Ezra zasnął, a ja wstałem. Gdy odsłoniłem zasłony, wydawało mi się, że zrobiło się jeszcze ciemniej. Cicho rozciągnąłem się na podłodze. Właściwie chcieliśmy jechać dalej do Dunkierki. Teraz już nie było to możliwe. Lecz dla mnie nie stanowiło to problemu.

Później spacerowałem po hotelu, deszcz lał jak z cebra. Przy recepcji ujrzałem twarz w świetle lampki stołowej. Zwróciłem się do osoby z nocnej zmiany z prośbą o przedłużenie pobytu o pięć nocy. Uznała mnie za Ezrę i podpisałem się jego podpisem.

Rano, 13 września, od razu znalazłem salę śniadaniową. Sympatyczne dziecko w za dużym uniformie podało mi plastikowy koszyk z rogalikami, herbatą i miodem. Ezra próbował jeść. Nie lubił śniadań, tak samo jak ja. Jesteśmy pokrewnymi duszami, ale czasami mam wrażenie, że nasze dusze nie do końca są zsynchronizowane.

— Pójdę do miasta, dobrze?

— Idź zobaczyć Wał Atlantycki i wyślij mi filmik.

— Jest burza — powiedziałem. — Napij się jeszcze trochę, proszę.

Chciał, żebym przyniósł mu owoce i papierosy.

— Owoce i papierosy? Nie powinienes chyba palić?

Spojrzał na mnie pytająco. Twarz miał pobieloną maścią, krótkie włosy sterczały we wszystkie strony, a kołnierzyk koszulki był równie wytarty jak wszystkie jego kołnierzyki.

— To nie ma znaczenia.

Deszcz spływał po panelach słonecznych na dachach domków przy plaży, piasek się pienił. Mewy dziobały pod ławką w rozprutym cieple szczura, oddzielając blade wnętrzości od tego, co nadawało się do jedzenia. Przed starą halą targową w porcie leżały muszle po ostrygach na trocinach. Przez moment miałem wrażenie, że już tu byłem. Zawsze mam takie déjà-vu. Człowiek zaczyna wierzyć we wcześniejsze życie, gdy wciąż doświadcza czegoś takiego. Ezra mówił zawsze, że to dlatego, że wszystko wypieram, że moje ciało próbuje mi sygnalizować, iż mam jakąś przeszłość. Naprawdę trudno mi przypomnieć sobie cokolwiek. Nic z przeszłości nie wydaje mi się naprawdę moje ani realne.

Między żeliwnymi kolumnami przy stojących stolikach pary jadły błyszczące zupy rybne. Szklanki piwa stały na ladzie, a etykiety win pływały w lodowatej wodzie w stalowych wiadrach. Deszcz bębnił o dach z falistej blachy. Wszyscy milczeli. Było za głośno, żeby rozmawiać, wszyscy jedli. Uwielbiam patrzeć na ludzi przy jedzeniu.

W kącie hali kucą handlarka przy stoisku, na którym równo ułożono książki i magazyny, przytrzymane gumką, niektóre przemokłe. Na okładkach tanich czerwonych broszur drukowane portrety: Hitlera przed staroświeckimi samolotami, cesarzy i królów, Robespierre'a z zasłoniętymi ustami i pieczołowicie odtworzona głowa Juliusza Cezara.

Zjadłem jedną ostrygę. Rybak miał dużą bliznę na policzku. Nie zdziwiło go, że chcę tylko jedną ostrygę. Był bardzo miły. Siedząc z widokiem na ułożone w piramidę persymony, wypilem sok i przejrzałem broszurę o Cezarze. Napisałem maila w sprawie mieszkania, które wypowiedziałem na koniec września. Umówiłem też rozmowę wideo dokładnie na dzień naszego powrotu. Kupiłem jabłka i gruszki, papierosy, ser i małą buteleczkę dobrej oliwy.

Ezra spał, kiedy wróciłem. W powietrzu unosił się zapach maści, dziwny i ledwo wyczuwalny — może przez ten niebiesko-biały pokój. Usiadłem i czekałem. W końcu się obudził.

— Byłem w hali targowej.

— Naprawdę?

— Zjadłem jedną ostrygę.

Nie zareagował.

— Rybak miał bliznę na policzku.

— Bliznę na policzku —powtórzył, jakby nie słysząc mnie do końca. Potem, trochę bez sensu, dodał:

— Dużą bliznę?

Zawsze opowiadałem mu wszystko. Teraz uświadomiłem sobie, że to było nie na miejscu, i przeprosiłem. Umyłem mu gruszkę w łazience, potem chciał, żebym umył ją jeszcze raz wodą mineralną. Przeprosiłem, zawsze przepraszam za wszystko. Ezra zjadł trochę gruszki i położył się z powrotem. Cały dzień paliły mnie oczy, a kiedy obserwowałem go z krawędzi łóżka, łza spadła mu na stopę. Drgnął i przesunął po niej drugą stopą.

Następnego dnia fotografowałem w jednym skrzydle hotelu pustą salę fitness z hantlami, starymi maszynami cardio i przetartymi piłkami gimnastycznymi ze skóry. Godzinę wiosłowałem na maszynie. Z każdym pociągnięciem przybliżałem się w tym małym, staroświeckim cyklu ruchów do celu, choć tak naprawdę mijał tylko czas. Minuta po minucie, sekunda po sekundzie. Później trudno było mi cokolwiek chwycić — moje palce były sztywne.

Piętnastego września na twarzy Ezry pojawiła się wysypka w kształcie motyla, dokładnie tak, jak mówił. Światło z ekranu smartfona igrało na maści na jego twarzy. Jego wyraz twarzy się uspokoił. Ospałość zniknęła, powrócił ledwie dostrzegalny cień życia, coś nieuchwytnego, skradzionego w jego oczach.

Ezra ma internetową osobowość, nazywa się Deborn. Prowadzi kilka blogów, komentuje wszystko, pisze o wszystkim. Deborn nie ma twarzy. Kiedyś jego zdjęcia profilowe przedstawiały krajobrazy w Oksytanii, gdzie od kilku lat padał nieustanny deszcz. Dopiero po pobycie na oddziale psychiatrycznym zmienił swoje zdjęcie profilowe na Angelusa Novusa, obraz z 1920 roku, pół dziecko, pół pożeracz ludzi.

Dawniej Deborn pisał o Szóstym Masowym Wymieraniu, o wymieraniu gatunków, o wymieraniu ludzi, o niezauważonej surrealistycznej historii bez struktury, bez punktu kulminacyjnego i bez rozwiązania. Później wymieranie stało się dla niego absolutnym szyfrem, tajemnicą wszystkich stanów. Doszedł do przekonania, że rozmyślanie o wymieraniu powinno stać się osią naszej kultury. Deborn był Aniołem Wymierania. Miał oddanych wyznawców. W sieci istniały fora, które próbowały odkryć, czego Deborn naprawdę chciał.

Ezrę to bawi. Stuka w swój stary smartfon. Przenika go to dziwne światło, kiedy pisze.

Dwa dni minęły. Spacerowałem po plaży pod parasolem, po twardym piasku. Odwiedziłem kompleks saun. Starsza flamandzka para rozmawiała ze sobą, a ja wyobrażałem sobie, jak ich słowa rozpuszczają się w parze wodnej. Nie pamiętam, co jeszcze się działo. Nie mam żadnych notatek z tych dwóch dni, żadnych zdjęć, żadnych filmów, żadnych wiadomości, które wysłałem.

Wczesnym rankiem 18 września, w środę, kupiliśmy online bilety na pierwszy ekspres Ostenda–Bruksela. Ezra poruszał się nieco niezdarnie pod hotelowym parasolem, ale nie dało się po nim poznać, że prawie tydzień leżał w łóżku. Przed dworcem w Ostendzie kobieta w jasnoszarym płaszczu rozdawała czerwone, plastikowe maki. Krople deszczu spływały po szklanych oprawkach jej okularów, które nie miały rantów. Wzięliśmy dwa, ale później zostawiliśmy je w pociągu.

Patrzyłem na deszczowe, rozciągnięte łąki i pola Flandrii. Było mi zimno. Oddychałem głęboko i byłem szczęśliwy. Z jakiego powodu? Kocham deszcz i zieleń tych łąk i pól.

Tuż przed przyjazdem na Dworzec Północny podano komunikat, przy którym okienku należy się zgłosić, jeśli chce się dojechać do Anderlechtu.

— Wygląda na to, że wciąż walczą — powiedziałem. Ezra skinął głową. Przemycono nagranie z obozu internowania w Libii. Protesty odbywały się nie tylko w Brukseli, lecz także w innych miastach Europy, wszędzie tam, gdzie było to możliwe.

— Wciąż im się nie udało — powiedział. Od kilku dni Anderlecht był odcięty. Płonęły samochody, paliło się centrum handlowe Westland, zamaskowani mężczyźni na skuterach desperacko szukali odpowiedzialnych w dzielnicy europejskiej. Ezra i ja obejrzelśmy podsumowanie BBC.

Wjeżdżaliśmy powoli do Brukseli. Widziałem wieże kościołów i przeszklone wieże wznoszące się przed cmentarzami, miejskie bramy, kominy, dym rozprzestrzeniający się w ciemnym deszczu.

W pociągu było kolejne ogłoszenie, tym razem informacja o *Saison au Congo*, miejskim festynie upamiętniającym kongijską i afrykańską wolność sprzed siedemdziesięciu lat, który miał rozpocząć się w nadchodzący weekend.

— Chcesz tam pójść?

Ezra wzruszył ramionami.

— Bea pytała, czy pójdziemy.

— Oczywiście, że pójdziemy — powiedział, nie podnosząc wzroku, jakby chciał sam siebie przekonać.